

KULTURA

„Bzik tropikalny” według Witkacego w warszawskich Rozmaitościach

Chichot tropików

Debiut Grzegorza Horsta to wydarzenie warszawskiego sezonu.
Krakowski reżyser znalazł sposób na Witkacego lat 90.

Trudno powiedzieć, jak właściwie nazywa się reżyser tego przedstawienia. Na studiach w krakowskiej szkole teatralnej występował jako Grzegorz Jarzyna, po „Lunatykach” Krystiana Lupy wystawił w Krakowie własną adaptację powieści Brocha jako Grzegorz Horst, a warszawski debiut firmuje nazwiskiem Horst d'Albertis. Jeśli dodać, że do braw po premierze wypadł na scenę w egzotycznej masce Demona, powstaje portret artysty, który pracowicie mistyfikuje samego siebie.

Tymczasem jego debiut w Rozmaitościach mistyfikacją wcale nie jest. Nie ma na scenie udziwnień i fanaberii scenograficzno-aktorskich, z których słynęły (z małymi wyjątkami) inscenizacje sztuk Witkacego. Horstowi (został przy tym nazwisku) udaje się z witkacowskich wampów, nie spełnionych artystów i kokainistów wyłuskać zwyczajnych ludzi. Patrzy na nich z ironicznym dystansem, pokipiwa sobie z ich napuszonego języka, tych wszystkich „transformacji osoby”, „żarów metafizycznych”, z gwałtownych wyznań i jeszcze gwałtowniejszych zerwań, ale spod tej maski wyciąga ich prawdziwe dramaty.

„Bzik” to trafne połączenie dwóch sztuk Witkiewicza z 1926 roku: „Mister Price’a, czyli Bzika Tropikalnego” i „Nowego Wyzwolenia”. Pierwsza dała sensacyjną intrygę, która rozgrywała się w tropikalnych sferach handlarzy kawą i gutaperką, druga – utrzymana w konwencji okrutnej baśni – pokazuje podświadomość bohaterów i ich narkotyczne wizje.

To, co w przedstawieniu Grzegorza Horsta jest najbardziej fascynujące, to



Scena ze spektaklu (Maja Ostaszewska, Cezary Kosiński i Janusz Łagodziński)

tropiki. Witkiewicz znalazł je z podróży na antypody, w którą zabrał go w 1914 roku etnograf Bronisław Malinowski. Horst – jak sam przyznaje – z pracy pilota wycieczek po Azji i Australii. Głównym tematem jest spotkanie Europy z tajemniczym, pierwotnym światem, który znajduje się gdzieś między Indiami a Australią, gdzie kolorowe drinki podają na spalonych słońcem tarasach skośnoocy kelnerzy, gdzie tubylcy zapadają w letarg w palarniach opium, gdzie śmieszni kupcy w za dużych korkowych hełmach zakładają kauczukowo-herbaciane trusty, a tancerze wpadają w trans przy dźwiękach bębna.

Ten świat wywołuje oryginalna muzyka z Indonezji i Oceanii, która ogarnia teatr, kiedy bohaterowie szaleją od gorąca i narkotyków, a także scenografia Barbary Hanickiej – orientalna ka-

wiarnia w ciepłych barwach, pleciona ściana w poprzek sceny i kostiumy – białe ubrania mężczyzn, wyzywające suknie kobiet, stylizowane na orient uniformy służby.

Tropiki są tu nie tylko dowcipną stylizacją. Ekstacytany taniec, wyuzdana miłość i narkotyki stają się symbolem obsesji Witkacego: nienasyceń, „dziwności istnienia”, degeneracji człowieka, który broni się przed utratą przeżytych metafizycznych.

Nieprawdopodobne przygody biznesmenów i kokot w tropikach przedstawione są przy tym z wielkim poczuciem humoru, co jest zasługą aktorów, zwłaszcza Cezarego Kosińskiego w roli flegmatycznego Sydneya Price’a oraz Mai Ostaszewskiej jako jego kochanki Ellinor, nienasyconej do tego stopnia, że nawet służbie nie przepuści.

Horst wydobywa na wierzch schematy literatury popularnej, na których opierał się Witkacy. Romans Price’a z Ellinor, te wszystkie czułe słówka, padanie na kolana, namiętne pocałunki, przypominają pastisz dzisiejszych melodramatów z serii Harlequin albo z „Casablanki” z Humphreym Bogartem. Gdy więc Price o bladej twarzy i ciętych oczach wygłasza z namaszczeniem modernistyczny komplement „Pani jest jak okularnik, a ja jak wiewiórka”, publika dusi się od śmiechu. Podobnym pastiszem jest Berta Brzechajło (Magdalena Kuta), starsza, sentymentalna pani, która aż przewraca się z wrażenia słuchając arii operowych i ze wszystkich sił pragnie doścignąć resztę towarzystwa w perwersji, a także jej syn, kokainista Jack, w wykonaniu Adama Nawojczyka szczerzy chłopiec z prowincji, który od nadmiernych dawek narkotyku nabawił się kataru.

Grzegorz Horst ożywił Witkacego jego własną metodą – dowcipem. Rozwiązał problem witkacowskiego języka, który chociaż się zestarzał, jest źródłem nie kończących się żartów. I, co najważniejsze, w bohaterach Witkacego wytropił współczesną mentalność: pogoń za mocnymi doznaniem, samodestrukcję, pogardę dla miłości i śmierci. Od nowej wersji Witkacego zaczęła się przed laty kariera Krystiana Lupy. Czy jego uczeń powtórzy drogę profesora?

ROMAN PAWLÓWSKI

Teatr Rozmaitości w Warszawie:
„Bzik tropikalny” wg Witkacego,
opracowanie tekstu i reż. Grzegorz Horst
d'Albertis, scen. Barbara Hanicka, muz.
Bolesław Rawski, premiera 18 stycznia.

„Bzik tropikalny” według Witkacego w warszawskich Rozmaiłościach

1

G. W.

20.01.97

Chichot tropików

Debiut Grzegorza Horsta to wydarzenie warszawskiego sezonu.
Krakowski reżyser znalazł sposób na Witkacego lat 90.

Trudno powiedzieć, jak właściwie nazywa się reżyser tego przedstawienia. Na studiach w krakowskiej szkole teatralnej występował jako Grzegorz Jarzyna, po „Lunatykach” Krystiana Lupy wystawił w Krakowie własną adaptację powieści Brocha jako Grzegorz Horst, a warszawski debiut firmuje nazwiskiem Horst d'Albertis. Jeśli dodać, że do braw po premierze wypadł na scenę w egzotycznej masce Demona, powstaje portret artysty, który pracownice mistyfikuje samego siebie.

Tymczasem jego debiut w Rozmaiłościach mistyfikacją wcale nie jest. Nie ma na scenie udziwnień i fanaberii scenograficzno-aktorskich, z których słynęły (z małymi wyjątkami) inscenizacje sztuk Witkacego. Horstowi (zostałmy przy tym nazwisku) udaje się z witkacowskich wampów, nie spełnionych artystów i kokainistów wyluskać zwyczajnych ludzi. Patrzy na nich z ironicznym dystansem, pokpiwa sobie z ich napuszonego języka, tych wszystkich „transformacji osoby”, „żarów metafizycznych”, z gwałtownych wyznań i jeszcze gwałtowniejszych zerwań, ale spod tej maski wyciąga ich prawdziwe dramaty.

„Bzik” to trafne połączenie dwóch sztuk Witkiewicza z 1926 roku: „Mister Price’a, czyli Bzika Tropikalnego” i „Nowego Wyzwolenia”. Pierwsza dała sensacyjną intrygę, która rozgrywała się w tropikalnych sferach handlarzy kawą i gutaperką, druga – utrzymana w konwencji okrutnej baśni – pokazuje podświadomość bohaterów i ich narkotyczne widze.

To, co w przedstawieniu Grzegorza Horsta jest najbardziej fascynujące, to



Scena ze spektaklu (Maja Ostaszewska, Cezary Kosiński i Janusz Łagodziński)

tropiki. Witkiewicz znalazł je z podróży na antypody, w którą zabrał go w 1914 roku etnograf Bronisław Malinowski. Horst – jak sam przyznaje – z pracy pilota wycieczek po Azji i Australii. Głównym tematem jest spotkanie Europy z tajemniczym, pierwotnym światem, który znajduje się gdzieś między Indiami a Australią, gdzie kolorowe drinki podają na spalonych słońcem tarasach skośnoocy kelnerzy, gdzie tubylcy zapadają w letarg w palarniach opium, gdzie śmieszni kupcy w za dużych korkowych hełmach zakładają kauczukowo-herbaciane trusty, a tancerze wpadają w trans przy dźwiękach bębna.

Ten świat wywołuje oryginalna muzyka z Indonezji i Oceanii, która ogarnia teatr, kiedy bohaterowie szaleją od gorąca i narkotyków, a także scenografia Barbary Hanickiej – orientalna ka-

wiarnia w ciepłych barwach, pleciana ściana w poprzek sceny i kostiumy – białe ubrania mężczyzn, wyzywające suknie kobiet, stylizowane na orient uniformy służby.

Tropiki są tu nie tylko dowcipną stylizacją. Ekstatyczny taniec, wyuzdana miłość i narkotyki stają się symbolem obsesji Witkacego: nienasyceń, „dziwności istnienia”, degeneracji człowieka, który broni się przed utratą przeżyć metafizycznych.

Nieprawdopodobne przygody biznesmenów i kokot w tropikach przedstawione są przy tym z wielkim poczuciem humoru, co jest zasługą aktorów, zwłaszcza Cezarego Kosińskiego w roli flegmatycznego Sydneya Price’a oraz Mai Ostaszewskiej jako jego kochanki Ellinor, nienasyconej do tego stopnia, że nawet służbie nie przepuści.

Horst wydobywa na wierzch schematy literatury popularnej, na których opierał się Witkacy. Romans Price’a z Ellinor, te wszystkie czułe słówka, padanie na kolana, namiętne pocałunki, przypominają pastisz dzisiejszych melodramatów z serii Harlequin albo z „Casablanki” z Humphreym Bogartem. Gdy więc Price o bladej twarzy i ciętych oczach wygłasza z namaszczeniem modernistyczny komplement „Pani jest jak okularnik, a ja jak wiewiórka”, publika dusi się od śmiechu. Podobnym pastiszem jest Berta Brzechajło (Magdalena Kuta), starsza, sentymentalna pani, która aż przewraca się z wrażenia słuchając arii operowych i ze wszystkich sił pragnie doścignąć resztę towarzystwa w perwersji, a także jej syn, kokainista Jack, w wykonaniu Adama Nawojczyka szczerzy chłopiec z prowincji, który od nadmiernych dawek narkotyku nabawił się kataru.

Grzegorz Horst ożywił Witkacego jego własną metodą – dowcipem. Rozwiązał problem witkacowskiego języka, który chociaż się zestarzał, jest źródłem nie kończących się żartów. I, co najważniejsze, w bohaterach Witkacego wytopił współczesną mentalność: pogoń za mocnymi doznaniem, samodestrukcję, pogardę dla miłości i śmierci. Od nowej wersji Witkacego zaczęła się przed laty kariera Krystiana Lupy. Czy jego uczeń powtórzy drogę profesora?

ROMAN PAWŁOWSKI

Teatr Rozmaiłości w Warszawie: 1996/97
„Bzik tropikalny” wg Witkacego,
opracowanie tekstu i reż. Grzegorz Horst
d'Albertis, scen. Barbara Hanicka, muz.
Bolesław Rawski, premiera 18 stycznia.

WARSZ.

KULTURA

6.10.2017

„Bzik tropikalny” według Witkacego w warszawskich Rozmaiłościach

Chichot tropików

Debiut Grzegorza Horsta to wydarzenie warszawskiego sezonu.
Krakowski reżyser znalazł sposób na Witkacego lat 90.

Tudno powiedzieć, jak właściwie nazywa się reżyser tego przedstawienia. Na studiach w krakowskiej szkole teatralnej występował jako Grzegorz Jarzyna, po „Lunatykach” Krystiana Lupy wystawił w Krakowie własną adaptację powieści Brocha jako Grzegorz Horst, a warszawski debiut firmuje nazwiskiem Horst d'Albertis. Jeśli dodać, że do braw po premierze wypadł na scenę w egzotycznej masce Demona, powstaje portret artysty, który pracownice mistyfikuje samego siebie.

Tymczasem jego debiut w Rozmaiłościach mistyfikacją wcale nie jest. Nie ma na scenie uduwnień i fanaberii scenograficzno-aktorskich, z których słynęły (z małymi wyjątkami) inscenizacje sztuk Witkacego. Horstowi (zostaliśmy przy tym nazwisku) udaje się z witkacowskich wampów, nie spełnionych artystów i kokainistów wyłuskać zwyczajnych ludzi. Patrzy na nich z ironicznym dystansem, pokipiwa sobie z ich napuszonego języka, tych wszystkich „transformacji osoby”, „zarów metafizycznych”, z gwałtownych wyznań i jeszcze gwałtowniejszych zerwań, ale spod tej maski wyciąga ich prawdziwe dramaty.

„Bzik” to trafne połączenie dwóch sztuk Witkiewicza z 1926 roku: „Mister Price’a, czyli Bzika Tropikalnego” i „Nowego Wyzwolenia”. Pierwsza dała sensacyjną intrygę, która rozgrywa się w tropikalnych sferach handlarzy kawą i gutaperką, druga – utrzymana w konwencji okrutnej baśni – pokazuje podświadomość bohaterów i ich narkotyczne wizje.

To, co w przedstawieniu Grzegorza Horsta jest najbardziej fascynujące, to



Scena ze spektaklu (Maja Ostaszewska, Cezary Kosiński i Janusz Łagodziński)

tropiki. Witkiewicz znalazł je z podróży na antypody, w którą zabrał go w 1914 roku etnograf Bronisław Malinowski. Horst – jak sam przyznaje – z pracy pilota wycieczek po Azji i Australii. Głównym tematem jest spotkanie Europy z tajemniczym, pierwotnym światem, który znajduje się gdzieś między Indiami a Australią, gdzie kolorowe drinki podają na spalonych słońcem tarasach skośnoocy kelnerzy, gdzie tubylcy zapadają w letarg w palarniach opium, gdzie śmieszni kupcy w za dużych korkowych hełmach zakładają kauczukowo-herbaciane trusty, a tancerze wpadają w trans przy dźwiękach bębna.

Ten świat wywołuje oryginalną muzykę z Indonezji i Oceanii, która ogarnia teatr, kiedy bohaterowie szaleją od gorąca i narkotyków, a także scenografia Barbary Hanickiej – orientalna ka-

wiarnia w ciepłych barwach, pleciona ściana w poprzek sceny i kostiumy – białe ubrania mężczyzn, wyzywające suknie kobiet, stylizowane na orient uniiformy służby.

Tropiki są tu nie tylko dowcipną stylizacją. Ekstatyczny taniec, wyuzdana miłość i narkotyki stają się symbolem obsesji Witkacego: nienasyceń, „dziwności istnienia”, degeneracji człowieka, który broni się przed utratą przeżyć metafizycznych.

Nieprawdopodobne przygody biznesmenów i kokot w tropikach przedstawione są przy tym z wielkim poczuciem humoru, co jest zasługą aktorów, zwłaszcza Cezarego Kosińskiego w roli flegmatycznego Sydneya Price’a oraz Mai Ostaszewskiej jako jego kochanki Ellinor, nienasyconej do tego stopnia, że nawet służbie nie przepuści.

Horst wydobywa na wierzch schemata literatury popularnej, na których opierał się Witkacy. Romans Price’a z Ellinor, te wszystkie czułe słówka, padanie na kolana, namiętne pocałunki, przypominają pastisz dzisiejszych melodramatów z serii Harlequin albo z „Casablanki” z Humphreym Bogartem. Gdy więc Price o bladej twarzy i cięjących oczach wygłasza z namaszczeniem modernistyczny komplement „Pani jest jak okulamik, a ja jak wieściarka”, publika dusi się od śmiechu. Podobnym pastiszem jest Berta Brzechajło (Magdalena Kuta), starsza, sentymentalna pani, która aż przewraca się z wrażenia słuchając arii operowych i ze wszystkich sił pragnie doścignąć resztę towarzystwa w perwersji, a także jej syn, kokainista Jack, w wykonaniu Adama Nawojczyka szczerzy chłopiec z prowincji, który od nadmiernych dawek narkotyku nabawił się kataru.

Grzegorz Horst ożywił Witkacego jego własną metodą – dowcipem. Rozwiązał problem witkacowskiego języka, który chociaż się zestarzał, jest źródłem nie kończących się żartów. I, co najważniejsze, w bohaterach Witkacego wytopił współczesną mentalność: pogoń za mocnymi doznaniem, samodestrukcją, pogardę dla miłości i śmierci. Od nowej wersji Witkacego zaczęła się przed laty kariera Krystiana Lupy. Czy jego uczeń powtórzy drogę profesora?

ROMAN PAŹŁOWSKI

Teatr Rozmaiłości w Warszawie:
„Bzik tropikalny” wg Witkacego,
opracowanie tekstu i reż. Grzegorz Horst
d'Albertis, scen. Barbara Hanicka, muz.
Bolesław Rawski, premiera 18 stycznia.